Od autora: To opowieść o prawdziwym gangsterze. Mieszkającym w Wiedniu i robiącym nadal przestępcze interesy.
Nie wie, że o nim pisałem i oby się nie dowiedział....

KAZIMIERZ JUNOSZA

Kleszcz

DLACZEGO WIEDEŃ?

Ostatnio Kleszcz obraca się w Wiedniu, czasem przyjeżdża do S…… - Zdroju, gdzie wyremontował sobie luksusowe mieszkanie. Szanowali i szanują go kryminaliści z całej Polski, także ci najsłynniejsi, znani z mediów.

O tym, że Wiedeń jest współczesną mekką szpiegów wiem nie tylko z książki Wiktora Suworowa „Akwarium". Czy przekonał mnie o tym Kleszcz? Nic podobnego. Gdy go wypytywałem o działania służb wywiadowczych w stolicy Austrii, okazało się, że jego wiedza o tym jest znikoma.

Pozwolę więc sobie na bardzo skrótową i wycinkową relację o pewnych działaniach wywiadów w Europie w minionym stuleciu i na początku obecnego. W czasach Pierwszej Wojny Światowej takim kłębowiskiem międzynarodowego szpiegostwa była Genewa. To tu Władymira Illicza Lenina zwerbował wywiad niemiecki. Niemcy podjęli decyzję by zaopatrzyć go w środki materialne, żeby mógł dokonać rewolucji na tyłach carskiej armii, zmagającej się z wojskiem niemieckim, atakującym Rosję. W ten sposób rewolucja październikowa pod przewodnictwem agenta Lenina spowodowała rozpad carskiej Rosji. Więc dzięki przebiegłym zabiegom wywiadowczym Niemców w Genewie zmienił się świat. Powstało totalitarne państwo ZSRR. Podobną rolę do Genewy w Drugiej Wojnie Światowej spełniały stolice państw neutralnych Lizbona i po części Madryt, także nadal terytorium Szwajcarii. Tam werbowano i przewerbowywano szpiegów działających dla Aliantów jak i Państw Osi, handlowano planami tajnych broni, materiałami strategicznymi oraz dokonywano skrytobójczych mordów.

Jakim cudem Wiedeń został mekką współczesnego szpiegostwa? Otóż jak twierdzi wielu starszych wiekiem Austriaków w roku 1955, po 10 latach okupacji sowieckiej, nastąpił w ich ojczyźnie CUD. Rząd Austrii do 1955. około 30 razy podejmował nieskutecznie próby rozmów z Mołotowem, radzieckim ministrem spraw zagranicznych. " ... *Po Wielkanocy 1955 roku przed kolejną turą moskiewskich rokowań Raab i szef austriackiego MSZ Leopold Figl poprosili ojca Pavlicka i wszystkich członków Krucjaty (~0,5*

miliona członków) o modlitwę. "Proszę się modlić! Niech wszyscy członkowie Krucjaty się modlą" - powiedział Raab. O łaskę dla narodu austriackiego gorąco modlił się sam Raab. I wtedy stał się cud. **13 kwietnia** - *w dzień fatimski* - **Sowieci** *nagle* ***i*** **niespodziewanie zmienili zdanie.** *Po uzyskaniu sowitego odszkodowania zgodzili się opuścić Austrię. ... "*

W kwietniu 1955 r. delegacja rządu Austrii wyjechała do Moskwy i powróciła z dokumentem gwarantującym Austrii wolność. **15 maja został podpisany układ państwowy**. Minister Leopold Figl przemawiając powiedział:

„ **Dziękując Bogu Wszechmogącemu, podpisujemy umowę i z radością wołamy:**
Austria jest wolna !”

Garnizony sowieckie w akompaniamencie marszowych pieśni granych przez wojskowe orkiestry opuściły Austrię.

Nie przypomina Wam to czasem tego, co działo się u nas prawie 40 lat później w roku 1993?

W Legnicy, Świdnicy, Świnoujściu i innych polskich miastach także zagrały radzieckie wojskowe orkiestry. Z pełnymi honorami, żegnani naręczami kwiatów i krokodylich łez opuszczali Polskę nasi wyzwoliciele spod jarzma hitleryzmu, a później wieloletni okupanci.

Wracając jednak do szpiegostwa w Wiedniu, otóż Austria do roku 1955, podobnie jak Niemcy przez 45 lat od zakończenia wojny, podzielona była na cztery strefy okupacyjne. Do czasu kwietniowego Cudu były tam obok rosyjskich wojska brytyjskie, amerykańskie i francuskie. Ich mundurowe jednostki po wycofaniu się Sowietów też zaczęły się wycofywać. Pozostały jednak mocarstwowe służby wywiadów. Na pewno sowieckie KGB i GRU, bez wątpienie pozostało amerykańskie CIA i brytyjski MI6, nie opuściły swojej wojskowej strefy i Wiednia francuskie służby DSGE i DRM. Zapewne po paru latach do naddunajskiego kraju dołączyły agentury MOSADU, pewnie potem niemiecki BND, nie mówiąc o polskim komunistycznym wywiadzie wojskowym i cywilnym, także STASI i inne służby państw paktu warszawskiego. W ten sposób niczym kłębowisko jadowitych węży splątały się w stolicy Austrii, nie zawsze czyste w intencjach interesy współczesnego świata.

Wiedeń stał się też atrakcyjny dla polskich gangsterów. Pamiętam czasy, kiedy do stolicy Austrii wyjeżdżali znani mi uliczni zabijacy, złodzieje, cinkciarze, ale też tenisiści, o których po latach dowiedziałem się, że współpracowali ze Służbą Bezpieczeństwa i wojskowym wywiadem PRL.

Wobec wspomnianych faktów zadam Wam czytelnicy pytanie retoryczne: jak sądzicie, czy rosyjskie służby szpiegowskie, po opuszczeniu Polski przez jednostki wojskowe, także się spakowały i opuściły nadwiślański kraj? Ale to tak zupełnie na marginesie…

PO SPOTKANIU Z KLESZCZEM

Kiedy poznałem Heńka Kleszcza nosił tandetnego gatunku sweter, wyświechtane spodnie i flanelową koszulę, w rodzaju tych jakie robotnicy nosili do pracy. Zaczepił mnie w autobusie, wracaliśmy późnym wieczorem z zabawy. Tłum górników jadących na nocną szychtę upchał nas z przodu autobusu, koło owalnej przykrywy, rzężącego i wydzielającego kurz z oparami ropnych spalin, motoru „Karossy". Było to przed laty, trenowałem jeszcze boks. Zdziwiłem się skąd o tym wie, bo nie występowałem już na ringu. Z zainteresowaniem dopytywał się o dni treningów i jak zapisać się do sekcji. Nie miałem ochoty na tą rozmowę. W klubie pojawiałem się coraz rzadziej. Traciłem przekonanie bym mógł coś jeszcze w boksie znaczyć. Kleszczowi imponowały zapewne inne moje zalety: Byłem ubrany w drogie ciuchy a na zabawie miałem wielu znajomych, z którymi kontakt podnosił mój prestiż. Patrzył mi prosto w oczy i pomimo młodszego wieku oraz marnego odzienia wzbudzał we mnie respekt.

Był mocno umięśniony, a jego żywa twarz irytowała mnie - wprawdzie grzeczną, acz nieco natrętną ciekawością. Jakby badał, na czym mogła polegać ukryta w moim wnętrzu wiara w siebie. Ten osiłek przenikał mnie na wylot, wyczuwał tającą się na dnie mojej podświadomości niepewność. Wybierałem się w tym czasie na długi pobyt do stolicy. Byłem pełen optymizmu, co do urzeczywistnienia moich ambitnych zamierzeń. Wymyślone plany uskrzydlały mnie, dodawały na kredyt pewności siebie, typowej dla ludzi sukcesu. Owe warszawskie zamierzenia nie miały prawie nic wspólnego boksem, przez co temat ciągnięty z wpatrującym się we mnie chłopakiem był mi obojętny. Nie zapamiętałem wtedy jego imienia… Nie zdawałem sobie sprawy, że rozmawiam z kimś, o kim po paru latach w naszym ponad stutysięcznym mieście zrobiło się najgłośniej. Jego oszałamiający sukces finansowy (nie mając prawie nic wspólnego boksem) stał się nokautem dla mnie i wielu innych, uzurpujących sobie prawo do stanowienia elity towarzyskiej.

Kleszcz i jego kumple, w rywalizacji o utrzymanie wysokiej pozycji towarzyskiej, rozdeptali nas na miazgę. Sprawili, że wycofaliśmy się z rozrywkowego życia. Zamknęli w domach, pozostawiając im dyskotekowe lokale, Klub Książki i Prasy, w którym kiedyś prowadziliśmy porywające dyskusje. Usunęliśmy się w cień, z kompleksami nabytymi z powodu nadmiaru trosk i konieczność wiązania końca z końcem. Toczyliśmy szarą egzystencję w pozakładanych przez nas rodzinach. Zbrzydliśmy, stali się mniej atrakcyjni dla młodych dziewcząt. - Ot przebrzmiałe pokolenie przeistoczone w szarych, podtatusiałych zjadaczy chleba. I co wstyd przyznać, wraz z przybywającymi latami, coraz to bardziej mieszczańscy, z czego jeszcze nie tak dawno szydziliśmy z pogardą.

Z grona imponujących mi kiedyś ludzi najdłużej trzymał się starszy ode mnie prawnik Leon Czuchnowski. Też przeżywał okres kłopotów, lecz rozwiódłszy się z Martą - dziewczyną przez jakiś czas uważaną za najładniejszą w W…….. - doszedł do siebie. Dzięki tajemniczo intratnym zarobkom dorobił się nowego Fiata 125, efektownie wyposażył apartament M-3 i prowadząc kawalerski żywot odmłodniał. Upodobnił się do spotykanych w największych miastach facetów, jakich widuje się na reklamach ilustrowanych magazynów.

W „empiku" przykuwał uwagę nastolatek, a kiedy wsiadał do samochodu z młodymi dziewczynami, wzbudzał zazdrość dancingowych donżuanów.

Na pewno nie jeden z uczęszczających do czytelni licealistów, zagubionych w dylemacie - „co robić po maturze", upatrując w nim wzór warty naśladowania, zdecydował się zdawać na studia prawnicze. Lecz ten paruletni zryw Czuchnowskiego, którym zdystansował kapcaniejących rówieśników i żądnych erotycznych podbojów młodzieńców, miał swój kres. Nowy, ozdobiony halogenami i wrzeszczącymi rajdowymi tłumikami, z rozmachem eksploatowany „Fiat" szybko się zużywał. Przybywało mu blizn po

drobnych kolizjach, odleciał jeden z halogenów. Najgłośniejszym echem odbiła się wieść o wypadku popełnionym przez Leona, kompletnie zamroczonego alkoholem. „Drogowy pirat z wizytą u rzeźnika." - donosił zaprawiony sarkazmem tytuł artykułu w naszym regionalnym tygodniku. Opisano zgrozę, jaką przeżyła ciżba ludzi stłoczonych w sklepie mięsnym. Przy odgłosie potwornego trzasku wystawowej szyby wbiło się do środka jego rozpędzone auto. Obyło się szczęśliwie bez ofiar. Jednak widok, rozebranej do biustonosza i majtek ponętnej dziewczyny, wydobywającej się przy pomocy, ziejącego oparami wina kumpla, wzbudził oburzenie. W środku wozu ujrzano rozbabraną, rozdartą scyzorykiem jajowatego kształtu puszkę nieosiągalnej szynki „Krakus". Wionął porozlewany szampan.

- Przykryj mnie czymś! – pisnęła obnażona dziewczyna na kolegę Czuchnowskiego. - Co to za motłoch? – dodała pijanym głosem.

- Ty zdziro! – rzuciła się na nią otyła kobieta. Za nią zaatakowali inni. Tłumem zawładnęła chęć mordu. Dziesiątki rąk już dusiły i próbowały rozerwać powalonych na posadzkę grzeszników, gdy przed rzeźnikiem zatrzymał się radiowóz M.O.

Pomimo remontu na masce samochodu pozostały nierówności. Ze srebrzysto - seledynowego, przemalowany na kolor brudnej cegły stał się pospolitym starym samochodem. Z dawnych uświetniających auto akcesoriów pozostały krzyczące tłumiki. Ale ich dźwięk zawodził już niezdrowo charczącą nutą. Podobnie przepity baryton Czuchnowskiego, któremu w owym czasie, prawdopodobnie ucinały się źródła zagadkowo wysokich zarobków, irytował tonem pretensjonalności.

Mimo to mu zazdrościłem. Nie było mnie jak jego stać na pocerowany wprawdzie, acz ze swobodnym fasonem noszony kożuch. Nieosiągalne też było marzenie, aby sprawić sobie, chociażby przechodzonego „malucha".

Wyjeżdżając do Warszawy, o czym wspomniałem wcześniej, miałem dwadzieścia trzy lata i przekonanie, iż stawiając wszystko na jedną kartę odniosę sukces. Liczyłem na to, co umiem i swój domniemany talent. Teraz po latach zdaję sobie sprawę jak w swoich kalkulacjach byłem nierozsądny. W optymistycznych rachubach nie wziąłem poprawki na koniunkturę. Tej, na ludzi mego pokroju w stolicy zabrakło.

Przed rokiem wyrzucono mnie z wydziału architektury za bójkę. Tak zemściły się bokserskie umiejętności. Facetowi, który mnie obraził wypadało dać po mordzie. Zrobiłem to jednak za mocno. Trafiony prawym sierpem w szczękę doznał skomplikowanego jej złamania. Wydalono mnie z wilczym biletem. Stałem się nikim, ciężko to przeżywałem. Po kilku miesiącach dano mi jednak szansę powrotu na uczelnię. Warunkiem miała być praca na budowie w charakterze robotnika i dobra opinia z pracy. Wyjechałem na Górny Śląsk, zamieszkałem u ciotki i podjąłem pracę. Po ciężkim pierwszym okresie, przywykłem do trudu fizycznego znoju. To boks, któremu poświęciłem setki godzin treningów, przepraszał za ten jeden feralny cios. Dzięki kondycyjnemu przygotowaniu organizm wytrzymał trudy noszenia worków z cementem, wysiłek pracy łopatą i kilofem. Praca stała się kojącym okładem na ból przykrych wspomnień i rozterek, nauczyła cieszyć się teraźniejszością, pokonywaniem słabości, hartowała fizycznie i psychicznie. Na dodatek wyleczyła mnie z dotkliwej w czasie studiów nerwicy. Żyjąc w oddaleniu od znajomych wiele czytałem. Postanowiłem uczyć się niemieckiego. Konieczność rysowania brył i martwych kompozycji, wymagana na studiach, zniechęciła mnie do plastyki. Lecz tu w Gliwicach ponownie zacząłem bawić się szkicami.

Na pięterku kawiarni „Roma" lokowałem się przy dużej czarnej i ciastku z podręcznikiem „Deutsch ist mein hobby". Na marginesie tekstów lub w miejscach odstępów rysowałem czarnym długopisem minia-

turowe karykatury, barwiąc je delikatnie kredkami. Ilustrowałem konteksty niemieckich zwrotów. Podręcznik zapełniał się barwnymi rysuneczkami. By nie zniszczyć książki kupiłem czysty zeszyt. Wtedy rysunki wydały mi się słabsze. Postanowiłem podnieść poziom swojego warsztatu. Znowu jak na politechnice pracowałem nad szkicami z modelu. W prostokąty papieru wkomponowywałem antyczne dzbanki, japońskie filiżanki, secesyjne krzesła, barokowy stół i inne rekwizyty stylowo umeblowanego mieszkania ciotki. Ćwiczenia wykonywałem ze znacznie większym zaangażowaniem emocji, niż - obowiązkowe na studiach. Coraz swobodniej posługiwałem się środkami plastycznymi. Parę razy, natchniony szczęśliwym pomysłem, uśmiechałem się do siebie, przez plecy przenikały mi dreszcze; wpadałem w ekstazę. Po raz pierwszy dokonywałem czegoś, co sprawiało mi satysfakcję. To było wspaniałe uczucie.

Nieistotne, że kiedyś, zerkająca w moją stronę kelnerka szeptała na mój temat do bufetowej, a ta wzruszyła potężnymi ramionami i pokazała palcem na czoło. Znalazłem w sobie zrozumienie znanego sloganu o „szczęściu tworzenia".

Po paru miesiącach trudów, idąc za przykładem cwańszych robotników opanowałem inną domenę - umiejętność maksymalnego obijania się na budowie. Potrafiłem, wykorzystując na przykład przerwę obiadową, zamaskować się na balkonie wykańczanego budynku. Z płyty pilśniowej konstruowałem parawan i delikatnie pieszczony promykami wiosennego słońca, usadowiony na miękkiej kufajce, pisałem scenariusz lub wykonywałem szkice kolejnych wydarzeń komiksowej opowieści. Jedynym kibicem i odbiorcą owej twórczości była zacna ciotka. Najwyraźniej bawiły ją rysunki, a jej szczery uśmiech nagradzał mnie i dopingował do dalszych dokonań. Stałem się silniejszy. Budziłem się wcześnie ze świadomością czekających mnie w ciągu dnia przyjemnych doznań. Zupełnie jak kiedyś w dzieciństwie na wakacjach. Wypełniało mnie rozrastające się od wewnątrz poczucie własnej wartości. Przeobraziłem się w optymistę. Pierwszą część komiksu zakończyłem rysunkiem bijatyki na całą stronę - obrazował tragikomiczny finał zalotów, podającego się za Niemca hochsztaplera, do kokietującej go atrakcyjnej barmanki.

Zapragnąłem podzielić się swym „dziełem" z kimś mogącym rzecz ocenić fachowo. Coraz częściej zastanawiałem się wtedy jak nadać swoim poczynaniom walorów zarobkowych. Wedle domniemanych obliczeń, za każdy z rysunków, gdybym jako rysownik „przebił się" do druku, otrzymałbym kilkaset złotych. Na owe czasy zdawało się to sumą zawrotną.

- Wyślij te rysunki do Kukusi - podsunęła mi ciotka pomysł. - Przecież jest dziennikarką, powinna ci pomóc.

Nie chcąc się pozbywać oryginalnego egzemplarza, za pół litra żytniej, w kserografie jednego z biur projektowych zrobiłem trzy szarobiałe kopie. Jedną wysłałem do kuzynki wraz z listem. Równolegle po raz pierwszy od dawna napisałem list do matki - załączając oczywiście kopię komiksu. Podniecony kawą, krótkimi zamaszystymi zdaniami informowałem o odkryciu w sobie nowej pasji, o dobroczynnym jej wpływie na moje zdrowie i psychikę: „*Jestem innym człowiekiem. Z malkontenta przeistoczyłem się w szczęściarza!"* - Zakończyłem list.

Wkrótce zwolniłem się z pracy. Zamiast roboty zacząłem uprawiać godzinne footingi. Biegałem na zaniedbany ewangelicki cmentarz i tam ćwiczyłem ponownie zaprawę bokserską. Dni stawały się dłuższe i cieplejsze. Zmyślą o plażowaniu zacząłem pracować nad poprawieniem umięśnienia. Jako sztangi i hantli używałem fragmentów poobłamywanych kamiennych nagrobków. Po każdym treningu i ciepłym prysznicu masowałem mięśnie. Na początku czerwca pierwszy raz byłem na basenie, wkrótce uczęszczałem

codziennie. Już mniej rysowałem. Samozadowolenie krzepione spojrzeniami dziewczyn, które zaczęły zwracać na mnie uwagę z racji katuszy nad poprawieniem muskulatury - rozpraszało mnie. Coraz trudniej przychodziło mi osiąganie „radości twórczej". Poczynania rysownicze ograniczyłem do niedbałych szkiców rejestrujących, przychodzące mi do głowy śmieszne skojarzenia. Znacznie więcej emocji przysparzało mi podrywanie dziewczyn. Ciotka dla odmiany zaczęła się zachwycać moją opalenizną.

Pewnego przedpołudnia, wychodząc z siatką wypchaną ręcznikiem, kanapkami i spodenkami do przebrania, minąłem się z listonoszem.

- To do ciebie - zawołała za mną ciotka. - Masz awizowaną rozmowę z rodzicami. Jest coś jeszcze - dodała, pokazując ekspresowy list ze stolicy.

Drżącymi dłońmi rozerwałem kopertę. O komiksie kuzynka wyrażała się pochlebnie, chociaż powściągliwie: *„Słabością rysunków jest zbytnia w nich dbałość o realizm, mało w nich syntezy. […] ale pomysły masz niekiedy świetne"* - pisała. *„Myślę, że coś z tego może być, pamiętaj jednak, iż to branża nie łatwa."* - zakończyła list.

Ogarnęła mnie fala mieszanych uczuć. Korespondencja nie wróżyła szybkiego sukcesu. Na pocztę szedłem rozdrażniony. Mieściła się w centrum rozgrzanego upałem miasta. Miałem za sobą dwie godziny bezowocnych prób rysowania w „Romie".

W słuchawce usłyszałem niezadowolony głos brata.

- Podobno nie złożyłeś jeszcze podania do rektora - odpowiedział na moje serdeczne powitanie.

- No i co z tego? – zdziwiłem się. – Wcale mi się nie spieszy.

- Ty chyba chcesz zamordować matkę! – rozległ się wrzask w słuchawce. – To ty nie wiesz ile kosztowały koniaki, które mama kupiła dla prorektora P….skiego? – krzyczał brat. Masz załatwiony powrót na uczelnię i chcesz to olać!?

- Romek posłuchaj mnie! – i ja krzyknąłem zniecierpliwiony. – Czy nie dociera do ciebie, że całkiem zmieniłem życiowe plany? Tłumaczyłem to wyczerpująco w liście do matki.

- To znaczy… chcesz tymi głupimi rysuneczkami zarabiać na życie? No nie są takie złe. Zawsze to lepsze niż gdybyś miał pić wódkę z robotnikami. Ale nie myślałem, że myślisz o tym poważnie – mówił przygnębionym głosem. – Zresztą na architekturze też masz rysowanie – na chwilę zamilkł.

Żal mi było Romka, bo wyraźnie się mną przejmował. Trudno mu było wytłumaczyć przez telefon jak ogromnej satysfakcji doświadczyłem przy rysowaniu komiksów. On męczył się na elektronice, nabawił się wrzodów żołądka – jak mógł mnie zrozumieć?

- We wtorek masz być w dziekanacie! My z matką jesteśmy chorzy. Musisz to dla niej zrobić.

W jego głosie czułem groźbę i szantaż – tak bardzo wtedy znienawidzony. Czułem się po raz pierwszy wolny. Już wtedy rozumiałem, jak bardzo wszystko, co robiłem przedtem, odbywało się pod presją strachu. Do głowy napłynęła mi krew.

- To ty nie rozumiesz, że wyleczyłem się z nerwicy i odzyskałem zdrowie? Mam w dupie architekturę! –

odwrzasnąłem i trzasnąłem słuchawką o widełki aparatu-
.

PORAŻKA

Nie będę się rozwodził nad nieprzyjemnym relacjonowaniem dwuletniego pobytu w Warszawie. Generalnie okazał się totalną klęską gliwickich zamierzeń. Nie chcąc rozdrapywać, do dziś niezabliźnionych urazów, ominę opis załamania się moich światowych aspiracji. Strąciły mnie w otchłań nędznego upodlenia. Wróciłem do W.....… jako życiowy bankrut, potępiony przez rodzinę i przyjaciół. Stałem się ponownie nikim, lecz tym razem już nie wyłącznie na swój własny rachunek. Uprzednio, podbudowany na kredyt złudzeniami o mającym nastąpić sukcesie, uwiodłem dziewczynę. Ona jedna, tak mi się zdawało, wierzyła w perspektywy czekającej mnie kariery rysownika. Urodziło się dziecko.

Teraz jesteśmy małżeństwem. Na dnie szuflady naszego paździerzowego segmentu w spółdzielczym M3 leży kronika „przegranej kampanii" - pakiet adresowanej do obecnej żony korespondencji. W jednym z niedawno czytanych listów znalazłem opis przypadkowego spotkania z Kleszczem. Odbyło się jeszcze w okresie, kiedy nie straciłem nadziei na ziszczenie ambitnych aspiracji, po pierwszym półroczu pobytu w stolicy. To było niedługo po dostaniu niezłej pracy, w której przydały się bokserskie umiejętności. Dostałem etat „bramkarza" zarekomendowany jako były bokser drugoligowej drużyny. „Na bramce" stanęliśmy w pięciu, wyselekcjonowani z ponad tysiąca studentów w akademiku na ulicy Kopińskiej, gdzie mieszkałem jako walet. Podstawowym kryterium, obowiązującym przy doborze kandydatów na „bramkarzy" była umiejętność unieszkodliwiania chuliganów. By zapełnić kasę klubu, na odbywające się cztery razy w tygodniu ubawy, do „Mospana" wpuszczano młodzież z Ochoty. Dobry zespół, mający w repertuarze najbardziej znane szlagiery z listy „top twenty" nadawanej przez rozgłośnię luksemburską, jak magnes przyciągał młodocianą szumowinę. Młodzi kryminaliści, „zaprawieni" przed zabawą alpagami, honorowe kwestie rozstrzygali bijatykami. Naszym zadaniem było przeciwdziałać mordobiciom. Szefem bramki był Fred - dwumetrowy grubas, onegdajszy reprezentacyjny junior w koszykówce. Nie raz zastanawiałem się potem, na jakiej zasadzie ten tępawy cham przepychał się przez politechnikę. Dość szybko zorientowałem się, że zanikły w nim jakiekolwiek walory sportowca. Jedynym atutem, na jaki liczył w niebezpiecznych sytuacjach była potężna postura i groźny wyraz twarzy. Będąc od obżarstwa i otyłości powolny i nieruchawy unikał bijatyk. Chyba, że miał do czynienia z kompletnie pijanym przeciwnikiem.

- Widzieliście ten strzał!? - Powiedział raz po skończonej zabawie. Jego ociężały, poparty masą cielska, cios rzucił na podłogę kompletnie pijanego młodzieńca, usiłującego półprzytomnie wcisnąć się bez biletu. Jedynym bramkarzem, na którego w razie czego mogłem liczyć, był niższy ode mnie, krępej budowy Jurek Wolski - zawodowy cyrkowy akrobata. Podobnie jak ja, w akademiku mieszkał na waleta. Oswojony z niebezpieczeństwami ewolucji na trapezie, wobec prowokujących go łobuzów zachowywał spokój. Bił mocno i skutecznie. Trzy razy w tygodniu ćwiczyliśmy w zamienionej na siłownię obszernej piwnicy razem z kulturystami. Pracę na bramce, jak i wstęp do siłowni wywalczyłem na mini turnieju pięściarskim. Organizatorem tej na niskim poziomie, kameralnej próby studenckiego boksu był Jacek Kudłaj - trenujący lekkoatletykę, działacz prowadzący sportową rekreację. W magazynie ze sprzętem miał dwie pary, sfatygowanych rękawic bokserskich. Stanąwszy z nim do walki półfinałowej, po paru sekundach wiedziałem, że musiał też coś mieć wspólnego boksem. Przyjął skupioną postawę. Już w pierw-

szej minucie trafiłem go mocno. Zamroczony lekko się zatoczył. Gruby Fred liczył do dziesięciu i ogłosił moje zwycięstwo przez techniczny nokaut. Wtedy poznałem cyrkowca Wolskiego. Zmierzyliśmy się w finałowym pojedynku. Ta walka nie przysporzyła mi glorii. Pomimo, że o boksie miał znikome pojęcie znalazłem się w opałach. Na początku walki strasząc mnie lewym sierpowym wbił się w mój bok potężnym prawym dyszlem. Z bólu zgiąłem się i przysiadłem na parkiecie. Fred zaczął mnie liczyć. Zerwałem się na nogi. Wznawiając walkę zapomniałem zupełnie o przez lata wypracowanej technice. Rzuciłem się na przeciwnika jak furiat. „Jak mogę przegrać z nie bokserem!?" – oszołomiła mnie desperacka myśl. Zagoniłem go do rogu prowizorycznie zainstalowanego ringu, zaatakowałem serią ciosów sierpowych. Przyjął wymianę. Błysnęło mi parę razy w głowie, zaciekle się bronił. Nie przestawałem walić. Półprzytomny z wściekłości, poczułem jak ktoś z tyłu złapał mnie za ramiona i odciągnął do tyłu. Nieco ochłonąwszy zobaczyłem chwiejącego się na nogach cyrkowca. Zasłaniały go wielkie plecy Freda, który machnięciami tłustej łapy powoli odliczał sekundy. Przeciwnik przyjął postawę po ośmiu. Pragnąc zrewanżować się za początek walki postanowiłem wpakować mu cios na wątrobę. Chyba to wyczuł. Mój wzmocniony wypadem ciała prawy sierp zderzył się z jego łokciem. Rozległo się chrupnięcie, dłoń przeszył ból.

Potem Wolski pomagał z opuchniętej dłoni zdejmować rękawicę. Fred podniósł nasze ręce do góry, ogłosił remis. Kilku z gromadki kibicujących nam studentów zaprotestowało.

- On nie był w stanie walczyć! - pokazał jeden na mnie.

- Ja widziałem najlepiej - rozstrzygnął Fred. - Gdybym nie przerwał bijatyki byłby nokaut na jego korzyść, skinął na mnie.

- Remis mnie urządza - poparł Freda Wolski.

Pięściarskich sukcesów nad chuliganami nie wspominam z satysfakcją. Może poza jednym epizodem, kiedy stanąłem do pojedynku z liczącym się na Ochocie rozrabiaką.

- Ja zawsze wchodziłem tu za darmo – powiedział po zaprzestaniu walki, w jej trakcie wstrząsnąłem nim lewym sierpowym, a on mnie ani razu nie trafił.

- To przyjmij do wiadomości, że nie wszyscy muszą się ciebie bać, a opłata za wstęp też cię obowiązuje - wyjaśniłem. Konflikt zaistniał, bo wszedł do „Mospana" roztrącając bramkarzy. Od razu zaproponowałem mu solówkę.

- On wrzucił Frankowi Kolombo - usłyszałem koło szatni kawiarni „Wawelskiej". Rosłem we własnych oczach. To najładniejsza z dziewczyn przychodzących do „Mospana" pokazywała mnie koleżance. Nieefektowną bójką, której dramatem był jeden cios, obaliłem mit dzielnicowego kozaka, zdobyłem szacunek wśród bywalców.

Praca z „papierem" na lanie po mordzie dała mi wtedy wiele. Nieoczekiwanie chwyciłem nową koniunkturę, dającą mi znacznie więcej niż chimeryczne satysfakcje czerpane z plastyki. „Bramkarze" - wysportowani chłopcy, najczęściej wyczynowi dżudocy, bokserzy, zapaśnicy i rugbiści, stanowili w życiu roz-

rywkowym stolicy specyficzną elitę. Niepisanym naszym prawem, po okazaniu plakietki z napisem „Sekcja Porządkowa", był bezpłatny wstęp na wszystkie ubawy w Warszawie. O nasze względy zabiegały lubiące tańczyć dziewczyny, z szacunkiem traktowali nas chuligani i cinkciarze.

Ćwiczyliśmy pod okiem, dobrze organizującego treningi kulturysty. Specjalnie dla mnie i Wolskiego zmniejszał obciążenia przy sztandze i sztangielkach. Dozowanie wysiłku na różne partie mięśni odbywało się seriami. Dziwiłem się jak skąpo darowane mi przez naturę ciało, systematycznie pęczniało nabierając muskularnej rzeźby. Po ćwiczeniach siłowych zaczynaliśmy szkolenie bokserskie. Wdzięczny kulturystom za mięśniowe przyrosty z pasją uczyłem ich pięściarstwa. Najzdolniejszym w mojej szkółce, był oczywiście cyrkowy akrobata. Po dojściu do formy zrehabilitowałem się za remisowy finał w miniturnieju. Na sparingu, ani razu nie inkasując jego ciosów, wysoko pokonałem go na punkty. Spoceni i zmęczeni ćwiczeniami radowaliśmy się ciepłą wodą spryskującą nas z pryszniców. Ogolony i schludnie ubrany, agrafką przypinałem plakietkę „Sekcja Porządkowa" i udawałem się do klubu. Już pół godziny przed rozpoczęciem wieczorków w obszernym holu, gdzie mieściła się portiernia akademika, gromadziły się wyelegantowane dziewczyny. W paroosobowych grupkach schodzili się chłopcy z Ochoty. Siadaliśmy z grubym Fredem albo Wolskim na blacie wysokiego biurka, zawężającego przejście wiodące do kawiarni i na salę taneczną. Za naszymi plecami rozpoczynało się, przytłumione ścianami, dudnienie anglosaskich szlagierów. Dudnienie perkusji udzielało niektórym dziewczynom oczekującym na wejście, bodźców do tanecznych podrygów. Wszystkie były podekscytowane. Ja, pokrzepiony specjalistyczną zaprawą, wypatrywałem mogących narozrabiać osiłków. Tchnęło ode mnie poczucie siły. Dla obytych w biciu się, zdradzały to moje rozważne ruchy typowe dla faceta z refleksem. W moich oczach musiała się czaić odwaga i zdecydowanie. Wtedy pielęgnowanie w sobie męskich cech i czerpanie z tego satysfakcji miało pełne uzasadnienie.

Mój azyl na męskość urwał się raptownie. Prawie od samego początku współpracy narastał między mną a grubym Fredem antagonizm. W czasie jednej z bójek przeciwko dwóm pijanym murzynom, którzy poturbowali studenta, udało mi się przeciwnika znokautować natychmiast. Pozostały długo kotłował się z „kierownikiem bramki" w zapaśniczych zmaganiach. Mimochodem udowodniłem Fredowi bzdurność jego przekonania jakoby był najsilniejszy z nas bramkarzy. Miewał zwyczaj dawać nam to do zrozumienia apodyktycznym sposobem wydawania poleceń.

- Po co mi trening, i tak żaden z was nie miałby ze mną lotu - powiedział kiedy z Wolskim zaproponowaliśmy mu aby przychodził do siłowni.

Zwolnił mnie z pracy wmawiając mi kradzież, której nie popełniłem. Czasem, aż połowa sali bawiących się wpuszczana była „na lewo". Sprzedawaliśmy na dwie części rozdzierane bilety. Podział dochodu odbywał się po ubawie. Pomyłkę popełniłem wpuszczając na salę sześciu chłopaków bez kuponów. Skasować miał ich, posiadający wypchaną kieszeń połówkami biletów Fred.

- Gdzie forsa - zwrócił się do mnie po zakończeniu tanecznego wieczoru.

- Ty miałeś ich skasować! – oburzyłem się.

- Od dzisiaj nie pracujesz - zakończył problem.

Odpiąłem i oddałem plakietkę. Zamiast mnie zatrudnił, odwiedzającego go ostatnio z siatką pełną butelek piwa, kolegę z wydziału, tłustego dżudokę.

SPOTKANIE

Przed relacją o kilkumiesięcznej pracy na bramce, wspomniałem o przypadkowym spotkaniu z Kleszczem. Nie poznałem go. Zwrócił moją uwagę, bo prezentował się niezwykle okazale. Siedziałem na wysokim biurku przy wejściu do „Mospana", za godzinę kończył się ubaw. Usłyszałem trzaśnięcie dwuskrzydłowych drzwi na sprężynach do holu akademika i ujrzałem dwóch młodych mężczyzn. Wchodzili energicznymi krokami, kierowali się w moją stronę. Szczególnie on zwracał uwagę. Na grzbiecie miał zagraniczną ortalionową kurtkę, podobną do tych, w jakich oglądałem francuskich kaskaderów z „Auto - Rodeo". Jego umięśnioną twarz zmieniła fryzura. Miał bujną czuprynę jasnych, falowanych włosów. Wszystko, co nosił na sobie, lśniło nowością. Wyglądał jak żywa reklamówka, uwielbianej przez młodzież „zachodniej" konfekcji.

- Cześć! – zawołał do mnie radośnie.

Byłem zakłopotany. Wysilając jak potrafiłem pamięć nie mogłem go skojarzyć z nikim znajomym, a już najmniej z licho odzianym chłopakiem, męczącym mnie w autobusie wypchanym górnikami rozmową o boksie. Fakt, że znał mnie z W……. uznałem za wystarczający, abym wpuścił go z kolegą bez biletów. Zaprosili mnie na kawę i wino, dalej bezskutecznie grzebałem w pamięci. Wprowadziłem ich do kawiarni.

- Dobry wieczór panu – usłyszałem dzielnicową piękność.

- Cześć – odpowiedziałem dumny z szacunku, jakim darzyła mnie ta dziewczyna.

Siedziała podpita przy barze, kusząco huśtając obnażoną do połowy uda kształtną nogą. Pociągała mnie, a szanse u niej podniosłem pokonaniem Franka Kolombo. Rozczarowany dojrzałem jej spojrzenie spod przymrużonych powiek. Przestała kołysać nogą i wpatrywała się w Kleszcza. Na wspaniale ubranego przybysza zwrócili uwagę wszyscy. On, powoli smakując lampkę „Mistelli" wyliczał wspólnych znajomych. Niewybredną polszczyzną opowiadał o ubawach w „Krzysztofie", gdzie przed wyjazdem należałem do stałych bywalców.

- Pamiętasz? Kiedy my wracali z jublu, nawijałeś że wybierasz się do Warszawy. Spotkałem twojego brajdaka i nadał mi gdzie się obracasz – wyjaśnił. Wtedy go poznałem. Przypominał siebie tylko sylwetką. Ten niezbyt sympatyczny osiłek przeistoczył się na korzyść. Jego wysubtelniała twarz zrobiła się nawet przyjemna. Mimo braku jednego z frontowych zębów, tryskał, płynącym od wewnątrz samozadowoleniem. Nadal czaiła się w nim drapieżność. Towarzyszącego mu kolegę traktował jak służącego.

- Załatw Witek jakąś glumkę – nakazał, wyjmując z kieszeni gruby pęk banknotów. – Chce mi się szamać – objaśnił widząc, że nie rozumiem, co mówi.

- Chyba dostałeś spadek – żartobliwie skomentowałem jego finansowy awans.

- Faktycznie, trochę mi się poprawiło. Mam dobrą tyrkę jako kelner w Karpaczu – powiedział.

Przez chwilę z trudem powstrzymałem się od wybuchu śmiechu. Wyobraziłem sobie, jak posługujący się gwarą więzienną Kleszcz przyjmuje zamówienie od wykwintnego konsumenta.

Wbrew regulaminowi pracy na bramce, ignorowanemu zresztą przez Freda, wypiłem parę kieliszków. Do towarzystwa ziomków dołączyła się najładniejsza dziewczyna z „Mospana" i jej o parę lat starsza koleżanka. Chcąc odwdzięczyć się gościom za zaproszenie na wino zaproponowałem im nocleg. Była sobota, wielu studentów na niedzielę wyjeżdżało do domów. Pojechali też dwaj okularnicy sąsiadujący ze mną przez ścianę. Od kulturysty – przewodniczącego rady mieszkańców, otrzymałem klucz.

- Tylko niech twoi koledzy nie narobią bałaganu – zaznaczył.

Zadowolony zbiegłem do klubu. Kleszcza znalazłem w zaciemnionej sali tanecznej. Tańczył w wolnym rytmie szlagieru „Money" zespołu Pink - Floyd. Był przytulony do pięknej Anki. Jej nagie ramiona obejmowały jego potężne plecy. Ukuła mnie zazdrość.

- Tutaj macie klucz. Na przyczepionej blaszce jest numer pokoju – powiedziałem z trudem zmusiwszy się do uśmiechu.

Przeżycia owej nocy zachwiały mną. Kleszcz z kumplem do użyczonego im pokoju sprowadzili Ankę z koleżanką. Do późnej nocy słychać było magnetofon. Nad ranem obudziło mnie skrzypienie łóżka i zawodzące rozkoszą pojękiwanie Anki.

Zastanawiałem się – czym poza forsą i ciuchami mógł jej Kleszcz zaimponować. Tłumaczenie sobie, że podobająca mi się dziewczyna jest zwykłą kurwą, było przykre. Przestała bywać w „Mospanie". Potem straciłem bramkarską posadę i akademik zamieniłem na hotel robotniczy.

Ankę zobaczyłem kilka miesięcy później, szła pod rękę z grubym Fredem, który na mój widok odwrócił głowę. Wyglądała bardzo ładnie, lecz przyjrzawszy się jej, kiedy przystanęła koło sklepowej wystawy… zdębiałem. Była nadęta zaawansowaną ciążą. Ogarnęła mnie prawie pewność - sprawcą jej odmiennego stanu musiał być Kleszcz.

Elitę towarzyską naszego miasta, w połowie lat siedemdziesiątych zdominował już półświatek. Jeszcze przed paroma laty imponujący dziewczynom młodzi inteligenci: architekci, muzycy, plastycy, inżynierowie, lekarze i prawnicy – zamknęli się w domowych zaciszach. W dwóch urządzonych na modłę „zachodnią" dyskotekowych lokalach pojawiali się rzadko. Przeważnie pijani, przygaszeni i wyzuci radości życia. Przytłoczeni niskimi zarobkami, brakiem perspektyw na czerpanie satysfakcji ze swoich zawodów. Stracili rozrywkową inwencję i poczucie humoru. Ich przeciwieństwem stali się ludzie idący z duchem czasu: cwaniacy, aferzyści, przemytnicy, cinkciarze i alfonsi. Obok nich, często jako koledzy, monopol na dobrą przemianę materii i pogodę ducha posiadali sportowcy. Wyczynowcy, kłamliwie określani mianem „amatorów", z których najwybitniejsi udowadniali na olimpiadach wyższość socjalizmu nad kapitalizmem, władze otuliły skrzydłami materialnej opieki. – To oczywiste, życiowe kłopoty mogłyby zaszkodzić w osiąganiu wyników.

Otwarto granicę do NRD, potem Czechosłowacji i Węgier. Ludzie obdarzeni praktycznym zmysłem

skwapliwie wykorzystali dobrą koniunkturę. Uczciwa praca dawała znikome możliwości urządzenia się. Zapewniała jedynie szarą wegetację.

Jednym z pierwszych, który postawił na ryzyko był Kleszcz. Zahartowany twardą szkołą kariery dżudoki; odwagę, siłę i refleks zainwestował na użytek nielegalnego handlu i przemytu. Powszechny stał się szmugiel zachodnioniemieckich butów. Trzeba było oszukiwać, coraz to sprawniej zaostrzających kontrolę celników. Przez wąskie gardło przejścia z Goerlitz do Zgorzelca, przepływała ogromna struga towarów, najwięcej obuwia. Jednorazowe przejście dawało Kleszczowi ponad dziesięć tysięcy złotych. Granicę przekraczał dwa razy w tygodniu. Pojawiwszy się w „Mospanie" miał za sobą intratną transakcję. Na bazarze na Skaryszewskiej sprzedał okazały transport „glanów". Miał za sobą paromiesięczną „gorączkę złota". Zacząwszy od paru uciułanych tysięcy dorobił się ponad stu. Nie chciało mi się w to wierzyć. Najbardziej oszałamiała mnie ta zawrotna cyfra. W ciągu paru miesięcy dorobił się sumy, jaką uciułał na PKO mój ojciec – człowiek bez nałogów, w dodatku piastujący stanowisko dyrektora Zakładu Przerobu Złomu.

Relację o przemycie butów usłyszałem od pijanego Witka – kumpla, którego Kleszcz w „Mospanie" traktował jak bezwzględny pan swego kamerdynera.

Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem nowo otwartą w W……. dyskotekę. Na jej pomieszczenia zaadaptowano poniemiecką restaurację. Tam za moich szkolnych i studenckich lat mieściła się młodzieżowa tancbuda ZMS-u. Z „zetemesem" łączyło mnie wspomnienie wielu przeżyć.

Już w autobusie zatrzymującym się koło dyskoteki zaskoczył mnie widok migającego czerwienią światła. Na murze starego blokhaus'u o wysokiej klinkierowej podmurówce, przyczepiono prostokątny klosz z napisem „Night - Club". Pod spodem w oknie wisiała kwadratowa tabliczka z tracącym o angielszczyznę neonem „Tip - Top". Po znalezieniu się w środku z trudem rozpoznawałem wnętrze. Na wyciszoną muzykę pop nakładała się kakafonia dzwoneczków, serie zniekształconych megafonami strzałów i brzęk sypiących się żetonów. Hałasowały amerykańskie automaty do hazardu. Uwijali się koło nich podnieceni gracze. Dalej była sala taneczna - jakże inna od tej, jaką pamiętałem. Dawniej odrapane ściany obito suknem bordowej draperii w turecki rzucik. Przyciemnione światło przecinały smugi kolorowych reflektorów, pomniejszono parkiet. Jasność biła od luksusowego bufetu ozdobionego francuskimi i angielskimi reklamami. Jak w kalejdoskopie iskrzyły się podświetlone od tyłu butelki zagranicznych trunków. Na pokrytych białymi obrusami stołach paliły się świece.

- Co dla pana? - Ocknął mnie uprzejmy głos przystojnego barmana w czarnym smokingu. Jego wytworna powierzchowność speszyła mnie. Bezwiednie stałem koło baru. „- Mam przy sobie trzy stówy" - odetchnąłem z ulgą.

- Poproszę o kieliszek wytrawnej wódki - powiedziałem i odetchnąłem zadowolony z tak wyrażonego zamówienia. Łyk przełkniętej żubrówki rozchodził się przyjemnymi ciarkami. Zamówiłem na „drugą nogę", usiadłem na miękkim barowym stołku i przekręciłem się w stronę estrady. Jakość kwadrofonicznej muzyki znacznie przewyższała rzępolenie zespołu w „Mospanie".

- Zachód, no nie? - Usłyszałem głos pełen uznania.

Tyłem siedzący facet w zamszowej kurtce odwrócił się w moją stronę. - To był, traktowany w „Mospanie" jak służący, kolega Kleszcza, Witek.

Na jego zmęczonej twarzy pojawiła się rysa świeżej, od wargi w dół schodzącej blizny.

- Rzeczywiście lokal na poziomie - potwierdziłem podając mu rękę. - Co u Kleszcza? - Zapytałem.

Przez jego twarz przemknął skurcz.

- To chyba nie jest twój kolega? - Zagadnął.

W tym momencie zauważyłem, że jest pijany. Przysunął się do mnie, o mało nie rozlewając szklaneczki z niedopitym pomarańczowym trunkiem.

- Mało go znam - odpowiedziałem.

Witek spuścił oczy i mówił jakby do siebie:

- Zobacz jak mnie ten skurwysyn urządził - dotknął palcem swojej blizny. - Pamiętasz tą Ankę co ją zgwałcił w Warszawie? Bandyta kazał mi jej przypalać dupę żelazkiem. Kneblował jej ryja żeby nie krzyczała. Początkowo nie chciała mu się oddać. Szkoda mi było dziewczyny. Jak Boga kocham, ja go zabiję. Mnie, kurwa pobił.

Z dalszej, zaprawionej wściekłością relacji dowiedziałem się o szczegółach zawrotnych dochodów. Irytowała mnie rola spowiednika - typa, bynajmniej, nie wzbudzającego mojej sympatii od chwili wzajemnego poznania się. Mówił za głośno, a w kącikach jego wykrzywionych nienawiścią ust, pojawiły się zajady piany. Wokół nas było coraz gwarniej.

- Rudolf Walentyno! Podaj szampana i dwa kieliszki - krzyknęła na barmana śliczna kelnerka o wydatnym biuście.

Chciałem już wstać i oddalić się pod pretekstem poszukiwania znajomych. Podniosłem się ze stołka. Nagle, służący Kleszcza zamilkł. Zdziwiony zobaczyłem jego patrzące w bok rozszerzone oczy. Rozległo się klaśnięcie. Pacnięta otwartą dłonią w czoło, głowa rozmówcy odleciała do tyłu.

- Co kurwo? Obrabiasz mi dupę - warknął stojący za mną Kleszcz. - Ty pijany łachu - wycedził i powoli, jakby nigdy nic, odszedł.

Rok 1976 niespodziewanie poprawił mi sytuację. Zacząłem bardzo dobrze zarabiać jako akwizytor. Zatrudnił mnie operatywny prywaciarz od usług wnętrzarskich. Podróżowałem po Polsce i zbierałem zamówienia na uszczelnianie okien szwedzką, metalową taśmą, wykonywanie tapicerki drzwiowej i zabezpieczenia przed włamaniami. Grasowałem przeważnie po nowych osiedlach i biorąc dwadzieścia pięć procent od zlecenia, wyciągałem powyżej tysiąca złotych na dniówkę. Pierwsze miesiące były dla mnie radosnym odrodzeniem wiary w siebie.

Jak w Gliwicach, zacząłem uprawiać bokserskie footingi. Potem prysznic, kaloryczne śniadanie i udawałem się na rozpoznawczy spacer. Oglądałem nadające się do akwizycji bloki. Następnie szukałem odpowiedniej do sesji rysunkowej kawiarni. Przy kawie, kremie, czy ciastku, tworzyłem ponownie komiksy, pisałem do nich scenariusze. Stałem się niezależny materialnie i oszczędzałem forsę. Kupiłem nowe „Wranglery", buty, szetlandzki sweter z „Mody Polskiej" i holenderską wiatrówkę. W nowym ne-

seserze woziłem dres, sportowe buty, przybory do rysowania, zeszyty i akcesoria toaletowe. Z perspektywy lat jestem pewien - początkowy okres tej pracy był najfajniejszy. Odżyła we mnie nadzieja na mogące jeszcze nastąpić sukcesy. Rysowałem bez wątpienia lepiej, kreska nabrała swobody, bardziej zdecydowanie posługiwałem się walorem.

Któregoś dnia ogarnęło mnie próżne pragnienie pokazania się w W…skim „empiku". Jako pretekst, aby się znaleźć w miejscu spotkań nowej elity towarzyskiej, wymyśliłem sobie przewertowanie zagranicznych magazynów. Wypadało się poprzyglądać dokonaniom publikowanych rysowników. W istocie chciałem się pokazać w nowych ciuchach z pogodniejszą twarzą. Nieświadomie zaciągnąłem kredyt na dobre samopoczucie. Miałem przesyt zawodu akwizytora. Wyjazdy były męczące. Monotonia serwowania identycznego zestawu frazesów lokatorom wzbudzała we mnie obrzydzenie. Bardziej niż domokrążcom czułem się rysownikiem, przy okazji wysportowanym facetem z forsą. Kipiałem aprobatą samego siebie.

„Międzynarodowy Klub Książki i Prasy", usytuowany na najbardziej ruchliwym placu w W…., był miejscem gromadzenia się śmietanki towarzyskiej. Wnętrze klubu, zajmującego parter okazałej secesyjnej kamienicy, poddawano parokrotnym adaptacjom. Przemieszczano bufet, zamieniono księgarnię na czytelnię. Później zrozumiałem powód gruntownych remontów: Uzasadniały głównie precedens napychania państwowymi pieniędzmi kieszeni kliki urzędników z ratusza, architektów i podwykonawców.

Przed szklaną taflą witryny stało trzech schludnie ubranych młodzieńców. Byli ożywieni, zapewne po wypiciu w pobliskiej bramie „bełtów". Jednego z nich znałem z widzenia - często wdawał się na zabawach w bijatyki. Nie widziałem go nigdy trzeźwego i dziwiło mnie, że ten moczymorda cały czas wygląda tak samo dobrze. Nawet jakby zmężniał. Kiedy ich mijałem ryknęli śmiechem. Ubawił ich widok dwóch otyłych, odzianych w podniszczone konduktorskie płaszcze kontrolerek M.P.K. Spontanicznie wyrażali pogardę dla przedstawicielek niechętnej im władzy.

- Cześć siostrzyczki! - Wrzasnął jeden z nich a pozostali dwaj słaniali się z radości.

Usadowiłem się przy stoliku za grubym filarem. Oddzielał mnie od bufetu i Leona Czuchnowskiego. Prawnik był pijany, nie miałem ochoty z nim rozmawiać. Jedynie powściągliwie się ukłoniłem, niosąc filiżankę z kawą i ciastko. Pomimo coraz cieplejszych dni, siedział w zarzuconym na niezbyt świeżą koszulę kożuchu. Zbyt głośno prawił uwodzicielskie frazesy otyłej dziewczynie o wyzywającym makijażu. Domyśliłem się - stojące przed nimi szklaneczki i butelka z wodą mineralną były kamuflażem. Pod stolikiem lub za połą kożucha miał na pewno półlitrówkę. Rozłożyłem przed sobą plik, zastawionych za dowód osobisty, kolorowych francuskich, angielskich i amerykańskich tygodników. Zjadłem szybko ciastko i nie mogąc skupić się na przeglądaniu, chłonąłem nową dla mnie atmosferę. Z prawej strony docierał synaps baryton przegranego przedstawiciela minionego pokolenia, z lewej i za plecami, rozmawiali reprezentanci nowej generacji. Mówili o sporcie, ciuchach, dziewczynach i interesach. Poznałem wśród nich znanego w W…… piłkarza, większość stanowili cwaniacy jeżdżący na handel do N.R.D. Promieniowała od nich pogoda ducha, od stóp po głowy zdobiła ich zagraniczna garderoba, towarzyszyły im ładne dziewczyny. Nikt z nich, poza wiadomościami sportowymi nic nie czytał, obojętna im była, obwieszająca ściany, galeria płócien niezłego malarza.

Nagle zrobiło się ciszej… Wyraźniej usłyszałem słowa Czuchnowskiego:

- To twierdzisz pulchniutka, iż nie znasz czaru ukraińskich pieszczot?

Ktoś parsknął śmiechem. Głośno zachichotała zgrabna blondynka.

- Panie Leonie - karcącym tonem odezwała się bufetowa.

Po chwili skojarzyłem - powodem ciszy nie była wcale chęć wsłuchiwania się w głos zdegenerowanego prawnika. Podniosłem oczy. Do czytelni wchodził Kleszcz. Był odziany w piękną kurteczkę z kremowego koloru skóry. Prezentował się fantastycznie.

- Cześć, sie masz, jak zdrówko - posypały się z czcią składane ukłony. Już przed jego wejściem zwróciłem uwagę na bardzo swobodnie zachowującą się blondynkę. Przypominała ówczesny ideał urody - francuską aktorkę Catherin Deneuve. Siedzącym z nią chłopakom nie pozwalała na poufałe żarciki, trzymała ich na dystans. Wydawała się niezależna i wyniosła. Zaskoczyła mnie jej reakcja na pojawienie się Kleszcza. Oblała się pąsowym rumieńcem. Speszona, odwracając głowę w stronę zacienionego wnętrza kawiarni, zdemaskowała się jak bardzo poruszyło nią j e g o przybycie. Na chwilę przypomniałem sobie Ankę, ukłuła mnie zawiść. Jednak zwyciężyło we mnie pragnienie zaspokojenia własnej próżności. Czekając by wymienić z nim ukłon, chciałem, aby podszedł się przywitać. Przywrócił mi rangę kogoś liczącego się w nowym high life'ie miasta. Stał tyłem i lekko przeginając głowę z imponującą lwią czupryną, wsłuchiwał się w szepczącego mu pośpiesznie coś do ucha, handlarza.

Zmusiłem się do udawanego zainteresowania „Paris - Mach'em". Ilustrowany zdjęciami, historyczny reportaż przedstawiał japońskich lotników - kamikadze. Fotografie martwych za życia twarzy, na godzinę przed samobójczą śmiercią, nawet po wielu latach, wywierały mocne wrażenie. Na moment się wyobcowałem.

- Cześć - poczułem na ramieniu dłoń.

To był on podał mi mięsistą rękę.

- Siadaj zaproponowałem serdecznie.

Rozparł się na sąsiednim foteliku, patrzył na zdjęcia japońskich pilotów i odezwał się półgłosem:

- Słyszałem, że dobrze nawijasz po szwabsku.

Poczułem jak dość gwałtownie zabiło mi serce.

- Dość poprawnie - powiedziałem.

- Mam do obłatwienia coś w Berlinie - odezwał się cicho, by nikt nie słyszał. - Musielibyśmy o tym ponawijać gdzie indziej. Mógłbyś coś zgarnąć.

BERLIN WSHODNI

Jadąc nocnym autobusem na dworzec główny, pomimo późnego wieczoru nie czułem senności. Rola tłumacza, przy dokonywaniu zagadkowej, na pewno niebezpiecznej transakcji, podniecała moją wyobraźnię. Byłem pewien, że nie chodziło o handel butami. W myśl przepisów celnych, rekwirowano już obuwie przywożone dla zysku. Wedle zaleceń Kleszcza ucharakteryzowałem się na turystę. Przez ramię przewiesiłem, jeszcze dobrze nadającą się do robienia zdjęć, „Zorkę", w ręce dumnie trzymałem białą torbę z napisem Adidas. Zawartość tej efektownej torby oraz neseseru pamiętającego gliwickie czasy, obciążał ładunek trzydziestu kamizelek z rudej irchy. Była to niespełna jedna trzecia towaru zakupionego na przemyt. Dostaliśmy je spod lady, dzięki życzliwej kompanowi ekspedientce.

W rozświetlonym neonówkami holu dworca było prawie pusto. Na obwiniętych w koce tobołkach, trzymając przezornie blaszaną rączkę odrapanej walizki, siedziała drzemiąca wiejska staruszka. Przed okienkiem informacji, opierając się o marmurowy blat, walczył o utrzymanie równowagi pijak w utytłanym błotem płaszczu. Na chwilę przyszło mi do głowy, że to działacz z bokserskiego klubu. Spod kapelusza, wychodziła mu siwa czupryna. Podszedłem bliżej, z kącika ust ściekała mu ślina, miał cofniętą nieogoloną szczękę. To nie był on.

Drgnąłem na widok czerni mundurów dwóch rosłych sokistów. Zbliżali się powolnymi krokami od strony wyjścia na perony. Koło uzbrojonych funkcjonariuszy majestatycznie posuwał się potężny wilczur. Dotąd zupełnie mi obojętni - stali się wrogami. „Przecież nie znają zawartości moich bagaży" - uspokoiłem się. Zacząłem czytać wykaz pociągów:

- Berlin - Ostbanhoff godz. 8.27. - „Jutro będę w jednej z najsłynniejszych stolic. Czekają mnie mocne przeżycia."

Mimowolnie ziewnąłem, powoli nużyła mnie senność. Wtedy rozległo się echo wielu kroków. Widok Heńka ocknął mnie. Ubrany w pomarańczową, grubo pikowaną kurtkę, Na plecach dźwigał ogromny szarozielony wór. Spod zakasanych tuż za kolanami, obcisłych dżinsów wychodziły pękate łydki opięte wełnianymi skarpetami w kolorowe paski. Na stopach miał wyczynowe buty do wspinaczki wysokogórskiej.

- Wyglądam jak amerykański globtroter. No nie? - Szybko powiedział ukazując szczerbaty półuśmiech.

- Dlaczego amerykański? - Zdziwiłem się.

Przekręcił się plecami. Na pękatym worze widniał przyblakły napis: U.S. Army.

- Tera musisz mnie słuchać - nakazał, kiedy po zapowiedzi pociągu staliśmy na peronie.

- No jasne - przytaknąłem. Nie miałem pojęcia jak przeszmuglować, taką dużą ilość towaru. Patrzyłem w stronę, gdzie miał się ukazać pociąg. W oddali, między połyskującymi splotami szyn paliły się czerwone, żółte i niebieskie światełka. Mimochodem nawiedziło mnie wspomnienie. W podobnym nastroju byłem już kiedyś. Miałem pięć lat i po raz pierwszy wyjeżdżałem nad morze. Siedzieliśmy z Romkiem na ogromnej poniemieckiej walizie obciągniętej płóciennym pokrowcem. Obok, spóźnieniem pociągu niecierpliwiła się matka. Masywna i pewna siebie postać Kleszcza, jak kiedyś ojciec dodawała mi otuchy. Wzbudzał we mnie zaufanie i lubiłem go za to.

Do rzeczywistości przywrócił mnie, wyłaniający się zza zakrętu snop reflektorowych świateł. Narastał stukot kół nadjeżdżającego ekspresu. Przednia część pociągu, ciągnięta przez głucho warczący spalinowóz, składała się z wagonów wschodnioniemieckich. W jasno rozświetlonych oknach siedzieli wyelegantowani podróżni. Przednie wagony były czyściejsze od polskich, pokrywała je lśniąca zielona farba. Poderwałem z ziemi torby, ruszyłem wprost ku nim. Z obskurnego dworca dzieliły mnie kroki od lepszego świata - odbywających zagraniczną wojaż pasażerów. Naprzeciw uchyliła szybę ładna dziewczyna w obcisłej bluzeczce.

- Co to jest za stacja? - Zapytała przyjemnym głosem.

- W…….- odpowiedziałem. - Są u pani wolne miejsca? - Zagadnąłem bez zastanowienia.

- Oczywiście - uśmiechnęła się kusząco.

Chwyciłem klamkę, kiedy warknął Kleszcz:

- Zbastuj! Idziem do tyłu.

Niechętnie pobiegłem za nim w stronę zaciemnionych szarych wagonów.

Zrozumiałem Heńka. Nie były ogrzane, ale prawie puste. W mijane przedziały rzucał krótkie, badawcze spojrzenia.

- Może tutaj? - Zapytałem widząc drugi pusty przedział.

Nie odezwał się, szedł dalej. Parę razy, niby to od niechcenia, odwracając się do mnie, sprawdzał czy nikt za nami nie idzie. Wreszcie otworzył jeden ze środkowych przedziałów.

- Nie zapalaj światła - syknął rzucając na siedzenie wór i zdejmując skafander, z wora wyrwał plik gazet i ortalionową kosmetyczkę. Szybko i starannie rozścielił czasopisma na podłodze. Miauknął zamek kosmetyczki. W poprzek twarzy złapał zębami dwa nowe śrubokręty. W jego ręce błysnęła latarka.

- No - zwrócił się do mnie, pokazując głową w stronę drzwi. Wyszedłem i odwróciłem się plecami w stronę okna. Mogłem obserwować Kleszcza i korytarz. Było zimno i pusto. Rozpędzony na dobre pociąg kołysał się w rytm szybkiego stakatto. Spozierając kątem oczu na boki, czując tłukące się z przejęcia serce, ciekawiłem się pracą Heńka. Leżał na podłodze przyświecając sobie do ust włożoną latarką, energicznie manipulował pod siedzeniem. Byłem oczarowany jego sprawnością. Każdy ruch i gest miał ściśle określone znaczenie. Przypominał Alana Delona z filmu „W kręgu zła". Demonstrował podobną precyzję w realizacji przestępczego rzemiosła. Od dogasającego papierosa odpaliłem następnego. „Palenie uzasadniało moje stanie na korytarzu."

Wtem… Zobaczyłem konduktora. Zbliżał się od strony niemieckich wagonów. Każda sekunda stała się cenna. Musiałem ostrzec wspólnika. Całą wolę skupiłem by nie okazać zdenerwowania. Powoli, niby w poszukiwaniu biletu, włożyłem do kieszeni rękę. Pochylony lekko kopnąłem drzwi. „Może nie słyszał?" Dla pewności powtórzyłem kopniaka. Konduktor nic nie widział. Wbijał się oczami w ciemność mijanych przedziałów. Głośno jazgotał wagon.

Kontrola celna w Goerlitz udała się szczęśliwie. Zanim do wagonu wpadli polscy i niemieccy celnicy, Heniek zabronił się odzywać. Przykryci kurtkami leżeliśmy udając rozespanych. O końskiej twarzy wopista w szarży plutonowego czujnie oglądnął dowody osobiste. Chwilę stał niezdecydowany, jego spojrzenia biegały po neseserach. Od niechcenia zasalutował i wyszedł. Dwa przedziały dalej w solidnie zaśrubowanych oparciach drzemała prawie setka irchowych kamizelek. Kosmetyczkę z narzędziami schowaliśmy w suficie nad umywalką. Kiedy ruszył pociąg natychmiast rzuciłem się w kierunku stojącego na korytarzu, palącego ostre cygaro, „prawdziwego" tłustego Niemca. Mimo wionącego od niego zapachu potu, wydzielającego mu się z ust odoru piwa i dymu, prowadziłem z nim zapalczywą konwersację. Sprawdzałem swoją językową sprawność. Myślałem, że zaimponuję Kleszczowi on jednak twardo zasnął. Niebawem i mnie znokautowała senność.

- Wstawaj kurwa twoja mać! - Usłyszałem jak przez ścianę. Wstrząsały mną potężne imadła ramion wspólnika. - Berlin! Dojechalimy! - Darła się nade mną, wykrzywiona wściekłym wyrazem, muskularna i szczerbata twarz.

Ku przerażeniu, dzielących z nami przedział „zachodnich sąsiadów", rozjuszony Kleszcz wymachiwał trzymanym jak bagnet śrubokrętem.

Na dobre ocknąłem się na peronie. Pomimo zimna, już po parędziesięciu krokach, ciężar amerykańskiego wora zaczął wyciskać ze mnie pot. Z niewyspania piekły mnie oczy, w gardle zgaga po papierosach.

W pierwszej chwili poczułem się jakby żywcem przeniesiony do hitlerowskiej Rzeszy. Zawdzięczałem to mnogości filmów oglądanych od czasu dzieciństwa o drugiej wojnie światowej. Realizatorzy zadbali w nich o rzetelną rekonstrukcję scenografii i jej tła dźwiękowego. Przypominały ją gotycką kursywą wypisane objaśnienia, stylizowany na Wehrmacht krój żołnierskich mundurów, blaszany ton megafonowych zapowiedzi. W powietrzu unosił się specyficzny zapach pamiętanej sprzed lat machorki, jaką ćmił przychodzący do naszej służącej Niemki Vater. Brakowało jedynie swastyk.

Po dojechaniu na Alexanderplatz, towar zamelinowaliśmy w jednej z dworcowych bagażowych skrytek.

- Musim zapamiętać, która to je - powiedział Heniek. Odczepił od kluczyka blaszkę z numerkiem, po czym wyrzucił ją do otworu w kanałowej pokrywie. - Mogom nas zgarnąć psy - wyjaśnił możliwość zaaresztowania nas. Był już w lepszym nastroju. Towar był na miejscu. Na zewnątrz dworca zaskoczył mnie widok nowoczesnej architektury. Była urzeczywistnieniem odrażających dla mnie wizji miast dwudziestego pierwszego wieku. Z projektami takiego budownictwa zetknąłem się na studiach. Jak okiem sięgnąć, rozpościerały się kompozycje mieszanin betonu, stali i szkła. Nadmiar bezdusznie uformowanego żelbetu tchnął przytłaczającą obcością. Najbardziej monstrualne wrażenie sprawiał ogromny, zwężający się ku górze owal wieży telewizyjnej. Piekącym wzrokiem oglądałem kopułę z obracającą się pod szczytem restauracją… Tchnął mnie lęk. Powoli sunące na niebie chmury dały złudzenie, jakby, owa gigantyczna reklamówka socjalistycznej myśli budowlanej, wywracała się w stronę kapitalistycznej części Berlina.

Rześkość odzyskałem po dwóch mocnych kawach. Mieliśmy za sobą prysznic i golenie, na grzbietach świeże koszule. Usiedliśmy w eleganckiej kawiarni, zwanej przez polskich cinkciarzy z warszawska „Pod iglicą". Określenie to było o tyle celne, że pomiędzy ideą powstania „Pałacu Kultury", gdzie na parterze była knajpa „Trojka", powszechnie zwana „Pod iglicą", a wieżą, pod którą akuratnie siedzieliśmy, istniała ścisła analogia - obydwie służyły demonstrowaniu potęgi socjalistycznych stolic.

Kleszcz znał prawie wszystkich zaludniających lokal przybyszy. Koło nas zajął miejsce mocno zbudowany cinkciarz z Warszawy o ryżych włosach.

- Ten Olek dobrze napierdala - zarekomendował go Heniek półgłosem. Rozwalony na foteliku waluciarz przechylił się do sąsiedniego stolika i szeptał coś do kędzierzawego bruneta o oliwkowej cerze.

Nie podobał mi się zarozumiały wyraz twarzy Olka. Zobaczywszy moje zainteresowanie swoją osobą przyglądał mi się badawczo. Wytrzymałem jego spojrzenie wypatrujące we mnie słabego punktu.

- Palisz to świństwo? - Odezwał się lekceważąco, zerknąwszy na leżącą na stoliku paczkę niemieckich „Karo".

- Są podobne do „Ekstra - Mocnych", no i „Gitanesów" - odbąknąłem. „ - Po co się przed nim tłumaczysz" - skarciłem się w myślach.

- To chyba cię stać na prawdziwe? - Nalegał zaczepnie.

- Może i stać - powiedziałem z uśmieszkiem, patrząc wprost w jego piegowatą twarz.

- Poczekajta tu chwilę - przerwał nam Kleszcz.

Przez uchylone szklane drzwi, do kawiarni weszli dwaj faceci odziani w krótkie skórzane kurtki o fizjonomiach południowców. Przywitali się z Heńkiem, podeszli do półkolistego baru ze stołkami o niklowych nogach. Wdali się w poufną rozmowę. Tymczasem do naszego stolika dosiedli się koledzy ryżego zabijaki. Zaczęli się dzielić wrażeniami z poprzedniego wieczoru, spędzonego gdzieś w berlińskiej dyskotece.

- Ale Olek zakurwiłeś temu Szwabowi. No myślałem żeś go zabił, bo usnął jak świnia - z bałwochwalczym uznaniem podlizywał się ryżemu grubas, o złodziejskich rozbieganych oczach, odziany w dżinsową kurtkę.

Irytowali mnie ci chuligani. Jeszcze nie tak dawno w „Mospanie" mieliśmy kłopoty z chłopakami tego pokroju. Drastycznie rozstrzygał je cyrkowiec Wolski.

Nie chcąc słuchać ich przechwałek, przyglądałem się klientom już prawie zapełnionej kawiarni. Większość stanowili, zapewne trudniący się przemytem, Polacy. Ubrani byli szablonowo, zgodnie ze stylem lansowanym przez napływających też licznie gastarbeiterów z Berlina zachodniego - wszyscy odziani byli w skórzane krótkie kurtki i rozszerzane ku dołowi dżinsy. Zmieniały się jedynie odcienie skór oraz tonacje granatu i czerni ich spodni. Gastarbeiterzy w znakomitej większości stanowili czarnowłosą mieszaninę Arabów, Turków i Jugosłowian. Zupełnie brakowało Niemców. Naokoło omawiano czarnorynkowe transakcje, wymieniano po obopólnie korzystnej relacji marki zachodnie na mniej warte dedeerowskie. Przy sąsiednim stoliku strzelił otwierany szampan. Pracujący w R.F.Nie Jugosłowianie zaczynali huczną pijatykę, która parę kilometrów dalej, za Bramą Brandenburską w lokalu o podobnym standardzie, poważnie nadwerężyłaby zasoby ich portfeli. Zazdrościłem tym pogodnym facetom radości, po tygodniu ciężkiej pracy. Geopolityczna koniunktura zezwalała im na prawie darmową pijatykę - dawała perspektywy na erotyczne podboje. Podobnie jak w Polsce, dziewczyny z NRD chętnie świadczyły usługi cielesne przybyszom ze strefy dolarowej.

Uświadomiłem sobie, że dzięki Kleszczowi odmieniam nudny los domokrążcy na atrakcyjną egzotykę międzynarodowego aferzysty. Poczułem się lepiej. Mimochodem zacząłem podzielać nastrój Jugosławian.

- Weź to skitraj - usłyszałem Heńka. - Co niezły sikor? No nie? - Wcisnął w moją rękę elegancki plastikowy zegarek. - Zachodni - dodał.

- Pokaż - zaciekawił się ryży zabijaka. - Ale do ręki - dodał niecierpliwie, kiwając palcem jakby mnie wołał.

- Widziałeś - powiedziałem ostro i wsadziłem zegarek do kosmetyczki w trzymanej pod stolikiem torby z ręcznikami. Widząc zaciskające się szczęki ryżego, napłynęła mi do głowy krew. Miałem ochotę wstać i strzelić go w piegowatą mordę.

- Wiesz co Olek? - Oświadczył z dumą uśmiechnięty Kleszcz. - Ten mój szczupły wspólnik - pokazał na mnie ruchem głowy. - Każdemu z was by napierdolił.

Koledzy ryżego spojrzeli na mnie z niedowierzaniem. Byłem Heńkowi wdzięczny - nagle stałem się kimś.

- Takie żyły mają czasem kopa - polubownie odezwał się piegowaty Olek.

Po raz pierwszy wydał mi się sympatyczny. Sięgnąłem po papierosa.

- Zostaw to. Zapal lepszego - Olek wyciągnął rękę ze złocistą paczką „Dunhill'ów"

W kompleksie pawilonów u podnóża „Stadt - Hotelu" mieściła się samoobsługowa restauracja. Tam, po zjedzeniu smakowitego posiłku, znaleźliśmy z Kleszczem hurtowych nabywców na nasze irchowe kamizelki. Byli Cyganami. Jeden z nich o krępej budowie miał odstraszającą twarz mordercy.

- Musim uważać. W razie czego, lutujemy - powiedział Heniek, kiedy Cyganie z parkingu wyprowadzali Fiata na kieleckiej rejestracji. - Oni mogom mieć kosy - dodał ostrzegawczo.

Wiadomość o możliwości posługiwania się przez Cyganów nożami, przeraziła mnie… Nigdy nie biłem się z nożownikiem. - Teraz zrozumiałem skąd u faceta, którego korpulentna postura zdradzała przeciwnika łatwego do zdemolowania pięściami - taka złowieszcza pewność siebie. Po długiej jeździe, zatrzymaliśmy się przed starym domem, poobdzieranym z tynku, gdzieś na peryferiach Berlina. Po skrzypiących schodach weszliśmy do brudnego pokoju. Myślałem ciągle, by nie dać się zaskoczyć. Ujrzałem w kącie kilkanaście pustych butelek - stanąłem koło nich. Jakby ośmielili się nas okraść, waliłbym nimi Cyganów po głowach.

Nieprzyjemnie zdziwiło mnie zachowanie Kleszcza. Podejrzanym kupcom usiłował wmówić, że rozłożony w stercie foliowych opakowań towar, zawiera sto dwie kamizelki. Wiedziałem o dziewięćdziesięciu dziewięciu. „Może nie znam ich prawdziwej ilości?" - Próbowałem wytłumaczyć przed sobą kolegę. Liczyliśmy je parę razy. Wzmagało się napięcie. Zaniepokoiłem się, gdy ten o bandyckiej twarzy warknął coś po cygańsku. Widziałem jak narasta w nim niebezpieczna, wściekła siła.

U mnie odwrotnie - wprost proporcjonalnie do braku przekonania w naszą moralną rację -potęgowały się strach i niepewność. Miałem ochotę wtrącić się, wyperswadować kompanowi, aby nie oszukiwał. Lecz on rzucił w moją stronę krótkie, porozumiewawcze spojrzenie… W owym ułamku sekundy, jak to sobie później uświadomiłem, straciłem cały jego szacunek. Moja fizjonomia, zapewne w sposób beznadziejny obnażyła brak zdecydowania. Musiałem trząść się ze strachu. Byłem antytezą faceta, który miał teraz stanowić zabezpieczenie jako usłużna maszyna do bicia. Kleszcz zrobił się blady jak ściana.

- Tu macie dziewindzisiąt sidym śtuk - syknął błądzący ręką za połą marynarki Cygan balansując na lekko przygiętych kolanach.

- Ja to przeliczę! - Odezwałem się rozpaczliwie. Podchodząc do stołu czułem w nogach watę. Pomimo wolnego liczenia, dwukrotnych pomyłek, po których oczekiwałem ciosu sztyletem w plecy, wyszło dziewięćdziesiąt osiem kamizelek. Wypłacili nam piętnaście tysięcy marek wschodnich.

Moje zachowanie podczas wspomnianej transakcji sprawiło, iż kolejna próba wywalczenia niezależnego mecenatu nad dążeniami plastycznymi rozpadła się jak zbutwiały łachman. Tracąc szacunek u Kleszcza przekreśliłem możliwość znalezienia się w nowej elicie towarzyskiej. Wyparowała też ze mnie motywacja do trenowania boksu. W tygodniu poprzedzającym przemytniczą eskapadę, idąc za przykładem Heńka, który każdą wolną chwilę spędzał na nartach i basenie - z zapałem ćwiczyłem boks. Mój na dobre odrodzony entuzjazm do sportu udzielił się bratu. Cieszyłem się, kiedy intensywnie łysiejący Romek, przełamywał zahamowania - bądź, co bądź był inżynierem elektronikiem i jak za młodzieńczych lat biegał ze mną do lasu, potem w piwnicy robiliśmy techniczny trening w rękawicach. Z dnia na dzień pęczniała we mnie energia, rosła mi forma. W przededniu wyjazdu do Berlina pomyślałem, czy nie boksować jeszcze w klubie.

Kleszcz po dokonaniu transakcji z Cyganami zerkał na mnie nieufne. Niemal z każdego jego gestu odczytywałem pogardę dla mojej zakłopotanej osoby. Stosunku Heńka do mnie nie poprawiły dalsze korzystne dla nas wydarzenia. Pijany Turek i dwaj zaczepieni przeze mnie amerykańscy żołnierze wymienili nam wschodnie marki, znacznie taniej od czarnorynkowego kursu, na twardą walutę. Po rozstaniu się z potomkami kowbojów, Kleszcz przeliczając pieniądze, klepnął mnie z radości po plecach. Szybko jednak jego serdeczność stopniała. Chciałem przez chwilę zapytać, dlaczego chciał okantować Cyganów? „Może przedstawiciele ich nacji nabili go kiedyś w butelkę?" On jakby wyczuwał moje wątpliwości. Z całej jego naładowanej energią postaci tchnęła, wiążąca mi słowa niechęć do etycznych polemik. Dobitniej to zrozumiałem w zgorzeleckiej restauracji przy hotelu „Pod Orłem". Przedtem zaimponował mi odwagą. Czujnemu, sprawdzającemu nam dokumenty celnikowi patrzył bezczelnie w twarz. Miał wtedy wetknięty w slipy zwitek około sześciu tysięcy marek zachodnich. Mniej ufni okazali się celnicy wschodnioniemieccy. Wysłali za nami prowokatora. Byliśmy w połowie pustego chodnika na moście łączącym Goerlitz ze Zgorzelcem, kiedy nas dogonił. Był ciężkiej postury chłopem, nieco wyższym ode mnie, a o pół głowy od Heńka.

- Ich hab Eine Frage. Ich bin aus West Deutschland **1** - próbował nawiązać rozmowę w przyjacielski nastroju. Wionął od niego zapach alkoholu. Zrównał się z nami. Wścibskimi oczami sondował naszą powierzchowność.

- Jak to je po szwabsku pływać? - Zapytał Kleszcz. Oglądnął się do tyłu.

- Schwimmen **2** - powiedziałem nie chwytając w lot, o co chodzi Heńkowi.

Byłem zdenerwowany towarzystwem nachalnego Niemca. Żaden szczegół jego tandetnej garderoby nie zdradzał kapitalistycznej jakości. „- Czego on może chcieć?”

Raptem ostro zaszurały buty… To, co się stało nie trwało sekundy. Kleszcz jedną ręką objął od tyłu drągala za kark, a drugą wykręcił mu ramię. Ku swemu przerażeniu zobaczyłem jak wytrąconego z równowagi natręta wywraca przez poręcz mostu. Z krtani, wiszącego kilkanaście metrów nad płytką kamienistą Nysą Niemca, wydobył się zwierzęcy skowyt rozpaczy.

- Du schwimmen? **3** - Szczeknął Kleszcz. - Zamknij mu ryj - syknął w moją stronę.

Szarpnąłem faceta za włosy, odgiąłem jego głowę w naszą stronę, by nie zleciał na dół i wykonałem zamach pięścią. Wybałuszone z orbit, przekrwione oczy naszej ofiary, jakby chcące wyrwać się z oczodołów, biegały między mną a szumiącą na dole rzeką.

- Nein - wycharczał skomlącym głosem. Płaczliwie prosił o darowanie mu życia. Kleszcz rozluźnił uścisk.

- Ty kurwo! - Warknął, po czym zadał mu w dupę potężnego kopniaka. - No spadaj! Raus! - Dodał i splunął Niemcowi na plecy.

Sponiewierany dryblas ruszył niezdarnym truchcikiem w stronę polskiego brzegu.

Po incydencie siedzieliśmy z Heńkiem „Pod Orłem”. Wtedy zakończył ze mną współpracę.

- Już razem nie b ę d z i e m ś m i g a ć - oznajmił, kiedy mu wspomniałem, że należałoby się rozliczyć. - Najpierw w W……. muszę odmrozić walutę - wykręcił się od rachunków.

„Rozliczenie” stało się nieprzyjemnym pożegnalnym akcentem. Okantował mnie bezlitośnie. Zamiast spodziewanych kilkunastu tysięcy zysku otrzymałem włożony wkład i podarowany mi „Pod iglicą” plastikowy - zachodnioniemiecki zegarek.

EPILOG

Od czasu rozstania się z Kleszczem, widywałem go coraz rzadziej. Najczęściej, zawadiacko prowadzącego samochody coraz to lepszych marek. Przez parę sezonów Kleszcz wydawał się uosobieniem człowieka sukcesu. Zauważyłem, że jego niewybredne maniery jak i wysławianie się więzienną grypserą, naśladowali młodzi ludzie, dla wielu z nich stał się w W…… idolem.

Ja, po różnych perypetiach, znowu zacząłem sobie radzić. Dostałem pracę, na niepełnym etacie w klubie przy kopalni. Zostałem instruktorem bokserskim w moim macierzystym klubie, szkoliłem juniorów. Miałem dużo wolnego czasu. Na treningach spędzałem przeważnie dwie godziny dziennie, dodatkowo ćwiczyliśmy z bratem technikę pięściarską dla siebie. Lepsze zarobki zapewniliśmy sobie jako cinkciarze – handlowaliśmy walutą. Czasem, coś tam rysowałem.

Pewnego razu Heniek zaskoczył mnie. Przechodziłem przez zatłoczone przejście na Placu Grunwaldzkim, kiedy poczułem klepnięcie w ramię. To był ON. Serdecznie się przywitał.

- Chodź, pokażę ci mojom nową furę – zagadnął.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy. W tamtych czasach, kiedy na drogach widywało się prawie wyłącznie Polskie Fiaty, Polonezy, Maluchy i Syrenki, a rzadziej przemykające czarne Wołgi - widok lśniącego Mercedesa cabrio bywał rzadkością.

- To model SL – powiedział.

Zobaczyliśmy milicjanta kręcącego się przy jego luksusowym samochodzie, Kleszcz przyspieszył kroku.

- To wasz samochód? Zajęliście obywatelu kawałek chodnika – natarł wysoki wzrostem funkcjonariusz na wyjmującego kluczyki Heńka. – Pokażcie dokumenty.

Kleszcz rozglądnął się na boki.

- Spierdalaj żołnierzyku, bo jak ci zajebie to się zesrasz – warknął na funkcjonariusza milicji.

Byłem nieomal w szoku. Nie mniej zaskoczony był przedstawiciel władzy reżimowej - wówczas bezkarnie mogącej aresztować, a nawet zmasakrować każdego, kto się jej naraził. Milicjant na moment znieruchomiał, po czym odszedł. Jedynie na jego twarzy pojawiły się blado czerwone wypieki.

Byłem bliski znalezienia odpowiedzi na, niejednokrotnie nurtujące mnie pytanie: - Dlaczego ten efektownie prezentujący się prostak i nieuk tak imponował młodzieży? - Na pewno odwagą i siłą - te atuty były zawsze w najwyższej cenie wśród tych, którzy nadawali ton młodym ludziom.

Nie przyszło mi jeszcze do głowy, że Kleszcz mógł podjąć współpracę z SB – a takie plotki krążyły na jego temat. – Zagadkowy był fakt otrzymania przez niego paszportu, zezwalającego przekraczać „żelazną kurtynę". Wtedy już prowadził przemytnicze interesy wyjeżdżając na „zachód". - Być może, pokrzepiony wsparciem służby bezpieczeństwa, pozwolił sobie na obraźliwe potraktowanie „krawężnika" - to znaczy pospolitego milicjanta? - Esbecy i ich współpracownicy, nie musieli respektować służb mundurowych niższej rangi.

Lecz dalsza część jego życiorysu, znana mi ze słyszenia i jego późniejszych relacji, zaprzeczała podejrzeniu, że mógł być pospolitym esbeckim kapusiem. - Na pewno nie stał się bezwolnym narzędziem w łapskach komunistycznej tajnej policji, skoro pierwszy, dwunastoletni wyrok odsiedział w reżimowym więzieniu w Bułgarii. (Jako ciekawostkę opowiem, że na spotkania z pierwszą żoną odwiedzającą go w kryminale, wychodził trzymając pod pachą ośmiokilową żelazną kulę przykutą łańcuchem do nogi. Takie utrudnienia dla chcących uciekać więźniów przyjął system penitencjarny Bułgarii wzorując się na dawnych więzieniach tureckich). Także po roku 1989, następna, odbyta przez niego kara ośmiu lat więzienia w angielskim kryminale, przysporzyła mu chwały w światku przestępczym. W Bułgarii złapano go z dwudziestoma tysiącami elektronicznych zegarków. W Londynie prowadził ciężarówkę obciążoną sześcioma tonami kokainy. Twierdzi, że niski wyrok ośmiu lat otrzymał za milczenie, bo brytyjska policja ukradła dwie tony białego proszku.

Po ujawnieniu przez media afery „Żelazo" – wskazującej na posługiwanie się przez komunistów gang-

sterami, by pozyskiwać korzyści materialne w Europie zachodniej, stało się dla mnie jedno jasne: - Tacy jak Heniek Kleszcz mogli być dla nich przydatni.

Skłaniam się ku tezie, że pierwszy dwunastoletni wyrok, jaki otrzymał za czasów komuny, był karą za jego pazerność i niesforność. Jako biedny z domu chłopak marzył o szybkim zdobyciu fortuny. Jego jedyna szkoła życia - sportowa kariera, w wynaturzonej pseudo - amatorskiej postaci, jaką był socjalistyczny sport wyczynowy - nauczyła go jednego: - Chcesz odnieść sukces? Olej pojęcie „fair - play". - Jest dobre dla frajerów.

Swoich komunistycznych mocodawców potraktował zapewne podobnie jak mnie, w restauracji Pod Orłem w Zgorzelcu, kiedy po przemytniczej eskapadzie do Berlina dokonywaliśmy rozliczenia zysków.

W czerwcu 2009 roku spotkałem go pod Tesco w W……. Tym razem z trudem poznałem ubranego w firmowe ciuchy o stonowanych kolorach, masywnie zbudowanego Heńka. Kiwał do mnie serdecznie przez okno nowego suwa Citroen'a na wiedeńskiej rejestracji.

- Chodź napijemy się kawy – zaproponował.

Udaliśmy się do kawiarni przy supermarkecie. Byłem trochę nieufny.

„On mieszka we Wiedniu! – myśl ta zelektryzowała mnie – Kleszcz zapewne ma powiązania z polskimi gangsterami działającymi w stolicy Austrii!" – nabrałem nieomal pewności. Słynna „orlenowska komisja śledcza", z zapartym tchem oglądana w telewizji przez całą Polskę, ukazała powiązania rodzimych elit politycznych z działającym tam polskim światem przestępczym. Media przekazały wstrząsającą wieść o tajemniczej śmierci pruszkowskiego „mafiozo" Baraniny, we wiedeńskim więzieniu. Po utknięciu w martwym punkcie „komisji orlenowskiej"; która działała podobnie jak mało efektywna komisja zajmująca się „aferą hazardową" – dręczyło mnie wiele pytań. Miałem swoje podejrzenia. „Czyżby znowu 'grubym rybom' wszystko miało ujść na sucho? Heniek musi coś o tym wiedzieć!"

Kiedy usiedliśmy przy stoliku zacząłem zwyczajowo:

- Co u ciebie? - On rozpoczął snuć opowieść o swoim pobycie w Dartmoor.

- Więzienie w Anglii to przedszkole, nauczyli mnie tam języka, skończyłem studia, jedzenie super, ale zdrówko mi podupadło. Raz po treningu ze sztangą dostałem zawału. O mało nie wykorkowałem.

Opowiadał o absurdalnej procedurze w brytyjskich więzieniach, przez którą omal nie umarł.

- Nie mogli mnie wsadzić do ambulansu, bo żeby wyjechać do wolnościowego szpitala zaczęli mi skuwać łańcuchem nogi. Traciłem przytomność.

Chciał jeszcze coś powiedzieć o angielskiej więziennej biurokracji, ale temat nieszczególnie mnie interesował. Wypaliłem, pytaniem:

- Heniek ty mieszkasz w stolicy Austrii… czy tam we Wiedniu rządzi ruska mafia? – zapytałem, przeko-

nany o współdziałaniu byłych agentów KGB, GRU, SB i WSW z polskimi przestępcami.

- No jasne, oni tam są najmocniejsi – potwierdził bez namysłu.

- Jak to jest możliwe, że ktoś we więzieniu sprzątnął Baraninę? – próbowałem sondować jego wiedzę.

- Ja nie wierzę, że go zabili. Baranina był najgorszą kurwą. Pierwszy kapuś w Polsce. Chyba siedzi gdzieś na Karaibach, albo w innym raju podatkowym.

W tym momencie w jego kieszeni rozległ się sygnał komórki.

- Chwila – powiedział wyciągając wypasionego I-phona. – Co ty pierdolisz jebany ćpunie? - Odezwał się do mikrofonu komórki. – Jak przyjadę to złamię ci szczękę – dodał zamykając klapkę telefonu i chowając go za pazuchę kurtki. – Chuj jest mi winien sześćset Euro i leci w gumy – wyjaśnił.

Zobaczyłem podchodzącego do nas Romka. Przywitał się z Heńkiem.

- Mieliśmy iść potrenować – zwrócił się do mnie brat. Usiadł z nami przy stoliku i rozmawialiśmy trochę o boksie. Rozstając się z Kleszczem życzyliśmy mu z Romkiem zdrowia i powodzenia, on nam też.

Byłem rozczarowany. Nie wzbogaciłem wiedzy, mogącej mi dać konkretne argumenty - dowodzące powiązań znanych polskich polityków z rosyjskim biznesem energetycznym. Także nie wykorzystałem okazji, aby zdobyć niezbite dowody na ich współpracę z gangsterami. Kilka lat później zdziwiłem się, że w Wiedniu zmarł nagle najbogatszy Polak Kulczyk – ktoś mu pomógł?

Tkwię nadal w gronie tych, z których szydzą w prywatnych mediach „postępowe autorytety intelektualne”. Określają nas pogardliwie: „wyznawcami spiskowej teorii dziejów”.

1. Mam pytanie. Jestem z Niemiec Zachodnich
2. Pływać.
3. Ty pływać?

1. Kleszcz to postać prawdziwa – zmieniłem jedynie jego ksywę i imię.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Kazjuno, dodano 21.08.2018 10:42

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.